

Larry Niven

Dziurawiec

Przekład: Jacek Manicki

Pewnego dnia Mars przestanie istnieć.

Andrew Lear mówi, że rozpocznie się to gwałtownymi wstrząsami i skończy nagle, w parę godzin albo dni później. Powinien był to przewidzieć. To wszystko jego wina. Lear mówi również, że zanim do tego dojdzie, upłyną jeszcze lata, a może nawet stulecia. Zostaliśmy więc. Lear i my wszyscy. Badamy bazę obcych starając się zgłębić jej tajemnice, gdy tymczasem świat, na którym przebywamy jest powoli pożerany od środka. Wystarczający powód, aby dręczyły człowieka koszmary.

To Lear odkrył bazę obcych.

Dotarliśmy do Marsa: czternastu ludzi, stłoczonych w wyposażonym w układy do podtrzymania życia, bulwiastym przedziale załogowym „Percivala Lovella”. Nie spiesząc się krążyliśmy po orbicie poprawiając nasze mapy i szukając czegoś, co mogły przeoczyć latające tu od trzydziestu lat sondy Mariner.

Między innymi nanosiliśmy na mapy maskony. Podobne koncentracje masy, występujące pod księżycowymi morzami powstały niemal z pewnością w wyniku zderzeń z asteroidami – ogromnymi skalnymi bryłami spadającymi bezgłośnie z nieba i uderzającymi w powierzchnię z energią tysięcy bomb jądrowych. Mars od czterech miliardów lat przedzierał się przez pas asteroidów. Na Marsie musiały występować większe i lepsze maskony. Gdyby tak było, oddziaływałyby one na naszą orbitę.

Andrew Lear pracował więc bez wytchnienia, obserwując uważnie drgania pisaków po papierze rejestracyjnym. Czujnik z aparaturą leciał, wirując, obok „Percivala Lovella”. Jego cienka skorupa kryła pozornie prosty, wyważony układ dźwigni dwuramiennej Czołowy Detektor Masy. Jego drgania były przenoszone na mapę za pośrednictwem pisaków.

Nad Sirbonis Palus pisaki zaczęły wykreślać dziwne krzywe. Kto inny by zaklął i starał się je uspokoić. Andrew Leara to zjawisko zaintrygowało. Pomyślał chwilę i wysłał do unoszącej się w próżni sondy sygnał wstrzymujący jej ruch wirowy.

Przy sporządzaniu mapy stacjonarnej sonda musiała się obracać. Teraz kreśliła ona zwykłą sinusoidę. Lear zerwał się z fotela i ruszył biegiem do kapitana Childreya.

Biegiem? Przypominało to raczej wyczyny na trapezie. Lear podciągał się za uchwyty, odbijał nogami od ścian, hamował ostro wyciągniętymi przed siebie dłońmi i stopami. Gdy człowiek się spieszy, poruszanie się w stanie nieważkości jest ciężką harówką, a Lear był czterdziestoletnim astrofizykiem, nie atletą. Gdy dotarł wreszcie do bańki sterówki, był porządnie zdyszany i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Childrey – który był atletą – czekał cierpliwie, spoglądając z pogardliwym uśmieszkiem na łapiącego oddech Leara. Już od dawna uważał Leara za stukniętego. Słowa Leara tylko utwierdziły go w tym przekonaniu.

– Sygnały wysyłane za pomocą grawitacji? Doktorze Lear, proszę nie zawracać mi głowy

swoimi dziwacznymi pomysłami. Jestem zajęty. Wszyscy jesteście zajęci.

To nie było fair. Niektóre z pasji Leara były szczególnie: generatory grawitacji, czarne dziury. Uważał, że powinniśmy szukać sfer Dysona: gwiazd otoczonych całkowicie sztuczną powłoką. Sądził, że masa i bezwładność to dwie oddzielne sprawy, że powinno być możliwe wyssanie bezwładności, powiedzmy ze statku kosmicznego i uczynienie go przez to zdolnym do osiągnięcia w przeciągu kilku minut prędkości równej niemal prędkości światła. Był marzycielem o szeroko otwartych oczach, a kiedy się podniecił, miał tendencję do odchodzenia od tematu.

– Nie rozumiesz – powiedział do Childreya. – Promieniowanie grawitacyjne jest trudniejsze do zablokowania od fal elektromagnetycznych. Modulowane fale grawitacyjne byłyby łatwe do wykrycia. Rozwinięte cywilizacje w galaktyce mogą porozumiewać się właśnie za pośrednictwem grawitacji. Niektóre z nich mogą nawet modulować pulsary – wprawiać w ruch obrotowy gwiazdy neutronowe. Nie wzięcie tego pod uwagę stało się przyczyną niepowodzenia projektu Ozma: szukali tylko sygnałów w spektrum elektromagnetycznym.

– Jasne – roześmiał się Childrey – twoi kumple używają gwiazd neutronowych do przesyłania ci wiadomości. Co to ma wspólnego z nami?

– No to zobacz! – Lear wyciągnął przed siebie taśmę cieniutkiego, niemal nieważkiego papieru, którą oddał przed chwilą od rejestratora. – Zdjąłem to nad Sirbonis Palus. Uważam, że powinniśmy tam wylądować.

– Jak bardzo dobrze wiesz, lądujemy na Mare Ciminerium. Lądownik jest już przygotowany i gotowy do wysłania na powierzchnię. Doktorze Lear, spędziliśmy cztery dni na sporządzaniu mapy tego obszaru. Jest płaski. Leży w rejonie zielono-brązowym. Za miesiąc, gdy nadejdzie wiosna, przekonamy się, czy występuje tam życie! Wszyscy oprócz ciebie popierają ten plan.

Przed sobą Lear trzymał wciąż, jak tarczę, arkusz papieru rejestracyjnego.

– Proszę cię. Zróbmy chociaż jeszcze jedno okrążenie nad Sirbonis Palus.

Childrey zgodził się na dodatkowe okrążenie. Być może przekonały go sinusoidy, być może nie. Mogła nim powodować chęć narażenia Leara reszcie załogi. Ale podczas kolejnego przelotu nad Sirbonis Palus dostrzeżono tam maleńki, okrągły twór. Wskaźnik masy Leara znowu kreślił sinusoidy.

Obcych nie było. Przez kilka pierwszych miesięcy spodziewaliśmy się w każdej chwili ich powrotu. Aparatura w bazie pracowała sprawnie i bez zarzutu, jak gdyby jej właściciele dopiero co wyszli.

Baza przypominała kształtem odwróconą do góry dnem, wysoką na dwa piętra brytfanę i nie miała okien. Wypełniająca ją atmosfera nadawała się do oddychania i przypominała składem powietrze ziemskie na wysokości trzech mil, zawierała jednak więcej tlenu. Atmosfera

Marsa była o wiele rzadsza i trująca. Najwyraźniej nie pochodzili z Marsa.

Ściany były grube i głęboko skorodowane. Pochylone do wewnątrz, utrzymywały się dzięki panującemu wewnątrz ciśnieniu. Strop był nieco cieńszy i ważył akurat tyle, aby zdołało go podtrzymać wewnętrzne ciśnienie. Zarówno strop, jak i ściany wykonano ze stopionego marsjańskiego pyłu.

Instalacja ogrzewająca ciągle działała. Stanowiła ona jednocześnie instalację oświetleniową: siatki w suficie jarzyły się ceglasto-czerwonym światłem. W bazie było zawsze o dziesięć stopni za ciepło. Przez prawie tydzień nie mogliśmy odnaleźć wyłączników, skrytych za zaryglowanymi płytkami. System klimatyzacyjny, dopóki się z nim nie uporaliśmy, wciąż dmuchał porywistymi wiatrami. Z tego, co zostawili, mogliśmy sporo na ich temat wnioskować. Prawdopodobnie przybyli ze świata mniejszego od Ziemi, obiegającego w niewielkiej odległości czerwonego karla. Znajdując się na tyle blisko, aby otrzymać wystarczającą ilość ciepła, planeta ta musiała pozostawać w ucisku potężnych sił pływowych, które trzymały ją skierowaną wiecznie jedną stroną ku macierzystemu słońcu. Cywilizacja obcych musiała się rozwinąć na oświetlonej półkuli w czerwonym blasku niekończącego się dnia i żyć pośród szalejących bez ustanku wichrów, rodzących się na granicy dnia i nocy. Nie odczuwali też potrzeby intymności. Jedynymi przejściami posiadającymi drzwi były śluzy powietrzne. Piętro od parteru oddzielała metalowa, sześciokątna kratownica, tak, że ktoś przebywający na górnej kondygnacji nie był zasłonięty przed wzrokiem towarzyszy pozostających na dole. Sypialnie stanowił robiący duże wrażenie, rozciągający się od ściany do ściany wypełniony rtęcią materac. Pomieszczenia były zbyt ciasne i zagracone, meble i aparatura ustawione zbyt blisko przejść, na skutek czego z początku wciąż objaliśmy sobie kolana i łokcie. Sufity na obu kondygnacjach znajdowały się na wysokości niecałych sześciu stóp, zmuszając nas do odruchowego schyłania się, chociaż niektórzy z nas byli dostatecznie niscy, aby móc się wyprostować bez obawy uderzenia głową o strop. Odruch. Lear miał jednak akurat taki wzrost, że gdziekolwiek w bazie wyprostował się zbyt gwałtownie, walił głową w sufit.

Wywnioskowaliśmy z tego, że musieli być niżsi od ludzi, mimo iż ich wyściełane ławy wyglądały na przystosowane do wielkości człowieka. Być może odmiennie myśleli – ich psychika nie potrzebowała przestrzeni życiowej.

Na statku nie było zbyt wygodnie. Teraz to. Pobyt w bazie doprowadzał nas do klaustrofobii. Byle iskierka wystarczała, by człowiek tracił nad sobą panowanie.

Dwóch z nas nie potrafiło się przystosować do zaistniałej sytuacji.

Lear i Childrey pochodzili jakby z różnych planet. Dla Childreya systematyczność była obowiązkiem. Mógł nią obdarzyć nas wszystkich. To właśnie Childrey wprowadził podczas tych długich miesięcy na pokładzie „Percivala Lovella” codzienne obowiązkowe ćwiczenia

gimnastyczne. Nikomu nie pozwalał opuszczać tych zajęć. W końcu przestaliśmy nawet tego próbować. No i dobrze. Te ćwiczenia trzymały nas przy życiu. Nie była to przecież gimnastyka, jaką co dzień uprawia każdy w normalnej grawitacji, przechadzając się po pokoju dla rozprostowania kości.

Ale po miesiącu spędzonym na Marsie Childrey jako jedyny paradował w ciepłej bazie obcych całkowicie ubrany. Niektórzy z nas traktowali to jako przekora i może mieli rację, ponieważ pierwszym, który na dobre rozstał się z koszulą był Lear. W mesie Childrey sprawdzał skrupulatnie, czy na jego sztućcach nie pozostały kropelki wody, po czym układał je idealnie równolegle.

Na Ziemi zwyczajnie Andrew Leara nie byłyby niczym więcej niż cechą charakteru. W pośpiechu potrafił założyć skarpetki nie od pary. Jeśli pochłonęło go coś interesującego, mógł odłożyć na dzień lub dwa użycie zmywarki do naczyń. Wolał dom, który wyglądał na zamieszkały. Boże zlituj się nad gospożą, która starała się sprzątać jego gabinet. Nigdy potem nie mógł nic znaleźć.

Był genialnym, ale nieobliczalnym człowiekiem. Jego nawyki zmieniłoby może uprawianie szybownictwa albo pletwo nurkowanie w tych dyscyplinach człowiek uczy się nie zapominać o najdrobniejszych szczegółach – ale nigdy go one nie pociągały. Wyprawa na Marsa była czymś, czemu on po prostu nie potrafił się oprzeć. A szkoda, ponieważ brak systematyczności w kosmosie może kosztować życie.

Nie zostawia się otwartego rozporoka w skafandrze próżniowym. Miesiąc po wylądowaniu Childrey przyłapał na tym Leara. „Rozporek” w skafandrze próżniowym jest rurką z miękkiej gumy nasuniętą na członek. Prowadzi ona do pęcherza, na którym znajduje się zacisk sprężynowy. Aby z niego skorzystać otwiera się zacisk. Po załatwieniu potrzeby zamyka się zacisk i otwiera kurek zewnętrzny, aby opróżnić pęcherz. Podobne konstrukcje dla kobiet zawierają cewnik, który jest szkaradnie niewygodny. Sądzę, że konstruktorzy jeszcze nad tym popracują. Nie jest w porządku, jeśli zagraża się połowie ludzkości droga do tego, do czego została stworzona.

Lear nałogowo uprawiał długie spacery. Uwielbiał krajobraz marsjańskiej pustyni – surowy fiolet nieba, łagodną mgiełką wirującego, pomarańczowego pyłu, wyraźny, bliski horyzont, bezgraniczną pustką. Więcej – Lear potrzebował przestrzeni. Cały czas pracy spędzał nad komunikatorem obcych w pomieszczeniu, w którym sufit był zbyt blisko jego głowy, a wszystko inne zbyt blisko jego kościstych łokci.

Wracał z samotnego spaceru i spotkał wychodzącego Childreya. Childrey zauważył, że kurek spustowy w skafandrze Leara jest otwarty, a sprężyna pęknięta. Lear był na zewnątrz kilka godzin. Gdyby próbował oddać mocz, mógłby wykrwawić się na śmierć poprzez rozerwane w próżni ciało.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co Childrey nagadał mu tam na zewnątrz, w każdym razie Lear wszedł do środka zaczerwieniony po uszy, mruczając coś pod nosem. Nie chciał z nikim rozmawiać. Psycholodzy z NASA nie powinni puszczać ich obu na tak małą planetę. Mądry człowiek po szkodzie, prawda? Jednak i Lear, i Childrey byli najlepszymi kandydatami pod względem fachowości oraz idącego z nią w parze stanu zdrowia, gwarantującego przetrwanie podróży. Rozważano również kandydatury astrofizyków tak samo kompetentnych i tak samo sławnych jak Lear, byli oni jednak o dziesięciolecia od niego starsi. Za Childreym przemawiało natomiast tysiąc godzin wylatanych w kosmosie. Był on jednym z ostatnich ludzi na Księżycu.

My wszyscy byliśmy, każdy z osobna, najlepszymi możliwymi kandydatami. To był cholerny wstyd.

Tak jak wszystko inne w bazie, obcy pozostawili komunikator pracujący. Sądząc z odchylających się na zewnątrz, wspierających go grubych kolumn musiał być cholernie masywny. Był to ogromny pojemnik, na tyle duży, że aby go pomieścić budowniczowie bazy musieli przewidzieć spore wybrzuszenie w stropie. Dzięki temu wybrzuszeniu Lear miał około metra kwadratowego powierzchni, na której mógł się wyprostować.

Nawet Lear nie miał pojęcia dlaczego umieszczono komunikator na drugiej kondygnacji. Mógł on przecież wysyłać sygnały z parteru albo nawet przez bryłę planety. Lear przekonał się o tym, kiedy, wiedząc już sporo, badał urządzenie. Nadał wiadomość w kodzie Morse'a do Detektora Masy na pokładzie „Percivala Lovella”, który znajdował się wtedy po przeciwnej stronie Marsa.

Lear ustawił Detektor Masy obok komunikatora na bardzo skomplikowanej platformie, która miała zabezpieczyć go przed wibracjami. Detektor wykreślił fale o tak ostrych wierzchołkach, że niektórym z nas wydawało się, iż czują wysyłane przez komunikator promieniowanie grawitacyjne.

Lear był zakochany w tym urządzeniu.

Nie przychodził na posiłki. Kiedy jadł, zachowywał się jak wygłodniały wilk.

– Tam w środku jest ciężka masa punktowa – przemówił do nas z ustami pełnymi jedzenia w dwa miesiące po wylądowaniu. – To urządzenie wprawia ją w drgania o wysokiej częstotliwości za pomocą pól elektromagnetycznych. Patrzcie – pochwycił tubkę pasty z tuńczyka i wyciągnął ją przed siebie. Pomachał nią gwałtownie. Głowy siedzących przy zygzakowatym stole zwróciły się ku niemu. – Wytwarzam teraz fale grawitacyjne, ale są one zbyt słabe, bo tubka jest za duża i ich amplituda równa się prawie zeru. W tym urządzeniu znajduje się coś naprawdę gęstego i masywnego, a na utrzymanie tego tam zużywane jest od cholery energii.

– Co to jest? – spytał ktoś. – Neutronium? Tak jak w sercu gwiazdy neutronowej?

Lear potrząsnął głową i wepchnął do ust następną porcję posiłku.

– Neutronium takich rozmiarów nie byłoby stabilne. Sądzę, że to jest kwantowa czarna dziura. Nie wiem jeszcze jak zmierzyć jej masę.

– Kwantowa czarna dziura? – spytałem. Lear z zapalem pokiwał głową.

– Miałem szczęście. Wiecie, że byłem przeciwny wyprawie na Marsa. Za zainwestowane w to przedsięwzięcie pieniądze moglibyśmy dokonać dużo więcej badając asteroidy. Moglibyśmy, między innymi, stwierdzić, czy naprawdę występują tam kwantowe czarne dziury. Ale ta jest już złowiona. – Wstał od stołu uważając na głowa, odsunął tace i wrócił do swych zajęć.

Pamiętam, że patrzyliśmy jeden na drugiego poprzez zygzakowaty stół w mesie. Potem ciągnęliśmy losy... i przegrałem.

Tego samego dnia, w którym Lear zostawił otwarty kurek w swoim skafandrze, Childrey nałożył na niego restrykcje. Lear nie mógł opuścić bazy bez eskorty.

Lear cenil sobie samotność tych spacerów, ale to było coś gorszego. Childrey przedstawił mu listę ludzi, z którymi mógł wychodzić na zewnątrz – sześciu ludzi, co do których Childrey mógł mieć pewność, że dopilnują, aby Lear nie zrobił czegoś niebezpiecznego sobie albo innym. Rozumie się, że byli to ludzie najbardziej doświadczeni w sprawach przetrwania w warunkach kosmicznych, podporządkowujący się bez zastrzeżeń narzuconej przez Childreya dyscyplinie, najmniej skłonni do sympatyzowania z trybem życia Leara. Równie dobrze Lear mógł poprosić samego Childreya, żeby z nim spacerował.

Już nigdy nie wyszedł. Dobrze wiedziałem, gdzie go szukać. Przystanąłem pod nim, spoglądając w góry przez kratownice stropu. Skończył już prawie demontaż osłon ochronnych, zainstalowanych wokół generatora fal grawitacyjnych. To co się spoza nich wyłoniło, przypominało trochę kawałek komputera, trochę cewki elektromagnetyczne, a kwadratowa tablica przycisków mogła być rodzajem maszyny do pisania obcych. Lear starał się prześledzić układ połączeń bez zdzierania izolacji z przewodów, posługując się w tym celu indukcyjnym czujnikiem magnetycznym.

– Jak ci leci? – zawołałem.

– Nie bardzo – odparł. – Izolacja wygląda mi na stuprocentową.

Boję się ją zdejmować. Trudno przewidzieć jak wielka energia płynie tymi przewodami, skoro potrzebują tak dobrego ekranowania. – Uśmiechnął się patrząc na mnie z góry. – Coś ci pokażę.

– Co?

Przełączył dźwigenka nad ciemnoszarą, okrągłą płytką.

– To jest mikrofon. Zajęło mi trochę czasu, zanim go znalazłem. Mówi Andrew Lear do każdego, kto może mnie słyszeć. – Włączył mikrofon, potem oddał kawałek papieru

rejestracyjnego od Wskaźnika Masy i pokazał mi zakrętasę, przecinającą gładką sinusoidę. – Zobacz. To dźwięk mojego głosu nałożony na promieniowanie grawitacyjne. Nie zaniknie, dopóki nie osiągnie krańców wszechświata.

– Lear, wspomniałeś tam w mesie o kwantowych czarnych dziurach. Co to jest kwantowa czarna dziura?

– Hmm. Wiesz przecież co to jest czarna dziura.

– Jasne. – Lear uświadamiał nas szczegółowo podczas miesięcy spędzonych na pokładzie „Percivala Lovella”.

Kiedy niezbyt masywna gwiazda wyczerpie swoje nuklearne paliwo, zapada się w siebie, przekształcając się w białego karła. Gwiazda cięższa – powiedzmy 1,44 masy Słońca – może kurczyć się po wypaleniu paliwa aż osiągnie średnicę dziesięciu kilometrów i wtedy będzie się składała jedynie z upakowanych ciasno, jeden przy drugim, neutronów – najgęstszej materii w tym wszechświecie.

Ale wielkie gwiazdy idą w tym jeszcze dalej. Kiedy naprawdę masywna gwiazda starzeje się... kiedy panujące w jej wnętrzu ciśnienie gazu i promieniowania staje się zbyt słabe, aby podtrzymać warstwy zewnętrzne, zapadające się pod wpływem własnej, potwornej grawitacji gwiazdy... wtedy może się ona skurczyć całkowicie, dopóki grawitacja nie stanie się większa od jakiegokolwiek innej siły, dopóki nie zostanie sprężona poza promień Schwarzschilda, i w rezultacie opuszcza wszechświat. Co dzieje się z nią później nie wiadomo. Promień Schwarzschilda jest granicą, po przekroczeniu której nic nie może się wydostać ze studni grawitacyjnej, nawet światło.

Gwiazda przestaje zatem istnieć, ale jej masa pozostaje bezświatłą dziurą w przestrzeni kosmicznej, być może dziurą prowadzącą do innego wszechświata.

– Czarną dziurę może pozostawić po sobie zapadająca się gwiazda – powiedział Lear. – Mogą istnieć większe czarne dziury, całe galaktyki, które zapadły się w siebie, ale obecnie nie ma innego sposobu, w który czarna dziura może powstać.

– A więc?..

– Był czas, kiedy mogły się tworzyć czarne dziury o dowolnych wymiarach. Było to podczas Big Bangu – wybuchu, który dał początek rozszerzającemu się wszechświatowi. Siły wywołane tą eksplozją mogły sprężyć lokalne zawirowania materii poza promień Schwarzschilda. To co z tego powstało – w każdym razie te najmniejsze – nazywamy kwantowymi czarnymi dziurami.

I wtedy usłyszałem za sobą charakterystyczny śmiech kapitana Childreya. Bryła komunikatora zasłaniała go przed wzrokiem Leara, a ja nie słyszałem jak nadchodził.

– A konkretnie, o jak dużych dziurach mówisz? Czy mógłbym taką wziąć w rękę i rzucić nią w ciebie?

– Znikłbyś w dziurze o takich rozmiarach – odparł poważnie Lear. – Czarna dziura o masie

Ziemi miałyby tylko centymetr średnicy.

Nie, ja mówię o dziurach, których masa niewiele przekracza 10^{15} grama. Taka może się znajdować w środku Słońca...

– Eee...!

Lear starał się jak mógł. Nie lubił, kiedy robiono z niego wariata, ale nie wiedział jak położyć temu kres. Zachowywanie powagi nie było dobrym wyjściem z sytuacji, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. – Weźmy czarną dziurę o masie 10^{11} grama i średnicy 10^{-11} centymetra. Pochłaniałaby ona kilka atomów dziennie.

– No, no! Przynajmniej wiesz gdzie jej szukać. Teraz zostało ci tylko pójść po nią.

Lear, wciąż zachowując powagę, skinął głową.

– Kwantowe czarne dziury mogą występować w asteroidach. Mały asteroid mógłby dosyć łatwo przyciągnąć kwantową czarną dziurę, zwłaszcza gdyby posiadał jakiś ładunek. Czarna dziura może być obdarzona ładunkiem, wiesz..

– Jaaaasne.

– Wystarczyłoby nam tylko sprawdzić mały asteroid Detektorem Masy. Jeśli jego masa byłaby większa niż powinna, odciągnęlibyśmy go na bok i zobaczyli, czy pozostawia za sobą czarną dziurę.

– Musiałbyś mieć maciupcie oczka, żeby dostrzec coś tak małego. A co byś z nią zrobił?

– Ładuje się ją, jeśli jeszcze nie jest naładowana, i manipuluje potem za pomocą pól elektromagnetycznych. Można wprawić ją w drgania dla wytworzenia fal grawitacyjnych. Wydaje mi się, że mam tutaj taką – mówiąc to poklepał komunikator obcych.

– Jaaaasne – powiedział Childrey i odszedł, zanosząc się śmiechem.

Po tygodniu nikt w bazie nie nazywał Leara inaczej jak „Dziurawcem” – człowiekiem z czarną dziurą zamiast głowy.

Nie brzmiało to zabawnie, kiedy opowiadał mi o tym Lear. Bogata różnorodność wszechświata... ale w ustach Childreya opowiadanie o czarnej dziurze w Skrzynce do Wszystkiego Leara wywoływało powszechną wesołość.

Proszę tego źle nie zrozumieć: Childrey rozumiał wszystko, o czym mówił Lear. Childrey nie był głupcem. On tylko uważał Leara za stukniętego. Pozostając wśród ludzi wykształconych nie mógł sobie pozwolić na naigrywanie się z Leara nie wiedząc dokładnie czym się on zajmuje.

Tymczasem prace postępowały naprzód.

W pobliżu bazy znajdowały się głębokie po kolana sadzawki marsjańskiego pyłu – fascynującej substancji, wystarczająco rozdrobnionej, aby zachowywać się jak lepki olej. Brodzenie po nich nie groziło niebezpieczeństwem, ale było ciężką harówką i unikaliśmy tego. Pewnego dnia Brace brodząc w najbliższym bazy bajorze zaczął macać wokół siebie pod

powierzchnią pyłu. Przeczucie, mówił później. Wygramolił się na brzeg z jakimiś przeżartymi, niby plastikowymi pojemnikami. Obcy zrobili sobie z sadzawki dół na śmieci.

Z analizą chemiczną materiałów znalezionych w bazie mieliśmy nieco szczęścia. Były praktycznie niezniszczalne. Dowiedzieliśmy się trochę więcej o organizmach gości z kosmosu. Pozostawili swoje ślady na stołach i komunalnym materacu. W tych próbkach znaleźliśmy większość składników chemicznych protoplazmy, ale Arsvey nie odkrył w nich nawet śladów DNA. Nic dziwnego, powiedział. Muszą istnieć inne gigantyczne molekuly organiczne, nadające się do kodowania genetycznego.

Obcy pozostawili po sobie tony notatek. Pisma nie zdołaliśmy, oczywiście, odcyfrować, ale studiowaliśmy fotografie i wykresy. Wiele z nich dotyczyło antropologii!

Obcy badali Ziemię podczas pierwszej Ery Lodowcowej.

Żaden z nas nie był antropologiem i to był cholerny wstyd. Nie wiedzieliśmy nawet, czy znaleźliśmy coś nowego. Wszystko, co mogliśmy zrobić, to sfotografować cały materiał i przesłać go drogą radiową na „Lovella”. Jedno było pewne: obcy odeszli stąd bardzo dawno, pozostawiając działającą instalację oświetleniową i klimatyzacyjną oraz wysyłający falę nośną komunikator.

Dla nas? Dla kogo innego?

Istniała jeszcze alternatywa, że baza została wyłączona na jakieś sześćset tysięcy lat, a potem włączyła się ponownie, gdy coś wykryło zbliżającego się do Marsa „Lovella”. Lear w to nie wierzył.– Gdyby zasilanie komunikatora zostało wyłączone – powiedział – nie byłoby już w nim tej masy. Żeby ją tam utrzymać pola elektromagnetyczne muszą być wytwarzane bez przerwy. Jest mniejsza od atomu: spadając przeniknęłaby na wskroś każde ciało stałe.

Tak więc system zasilania bazy pracował przez cały czas Co to, u diabła, mogło być? I gdzie to mogło być? Prześledziliśmy bieg paru kabli i stwierdziliśmy, że blok zasilający znajduje się pod bazą, pod kilkujardową skorupą stopionego na lawa marsjańskiego pyłu. Nie próbowaliśmy się przez nią przebijać.

Źródło energii było prawdopodobnie typu geotermicznego: głęboko wydrążona, sięgająca jądra planety dziura. Może obcy musieli wykopać taką dziurę dla pobrania próbek jądra. Potem przekształcili ją w generator, wykorzystujący różnice temperatur między jądrem a powierzchnią.

Lear poświęcił trochę czasu na prześledzenie dróg, po których rozchodzą się szyny zasilające w komunikatorze. Odkrył sposób wyłączania fali nośnej. Teraz masa – jeśli była tam jakaś masa – znajdowała się w spoczynku. Detektor Masy wykreślał linię prostą, zamiast sinusoidy o spiczastych wierzchołkach.

Nie byliśmy przygotowani, aby czerpać z tych bogactw. Nasze wyposażenie przystosowane było do badania Marsa, nie okruchu cywilizacji z innej gwiazdy. Lear był wyjątkiem. Był w swoim żywiole i tylko jedna sprawa zmąciła jego szczęście.

Zanim ich zobaczyłem, usłyszałem głosy. Lear krzyczał.

Childrey nie krzyczał, ale mówił głośno, w jego głosie można było wyczuć kpinę. Stał z rękoma na biodrach między filarami i zadzierając głowa patrzył w góra na Leara, wyszczerzywszy olśniewająco białe zęby.

Skończyli rozmowa. Przez chwilę obaj się nie ruszali. Potem Lear wydał pomruk rozgoryczenia. Odwrócił się i nacisnął jeden z klawiszy na tym, co mogło być klawiaturą maszyny do pisania obcych.

Childrey wyglądał na zaskoczonego. Klepnął się po prawym udzie i podniósł do oczu zakrwawioną dłoń. Gapił się na nią z niedowierzaniem, potem spojrzął w góra na Leara. Chciał chyba o coś zapytać.

Osunął się wolno w małej grawitacji. Dopadłem doń, zanim uderzył o posadzka. Przeciąłem mu nogawka spodni i przewiązałem chusteczką krwawiące miejsce. Było to małe nakłucie, ale ponad nim, wzdłuż pachwiny, ciało było ściągnięte.

Childrey próbował coś powiedzieć. Oczy miał szeroko otwarte. Zakaszłał i na jego ustach pojawiła się krew.

Chyba straciłem głowę. Jak mogłem mu pomóc, skoro nie miałem pojęcia co się stało? Dostrzegłem krwawiące miejsce na jego prawym ramieniu i rozdarłszy koszulę znalazłem drugi mały ślad po nakłuciu.

Przybył lekarz.

Childrey zmarł po godzinie, ale lekarz zrezygnował już dużo wcześniej. Między raną na ramieniu, a raną na udzie ciało Childreya było popękane wzdłuż cienkiej linii, która przechodziła przez jedno płuco, żołądek i przez część jelita grubego. Sekcja zwłok wykazała maleńki, zadziwiająco prosty kanalik, przewiercony przez kości biodrowe.

Szukaliśmy i znaleźliśmy – maleńki otworek w posadzce bezpośrednio pod komunikatorem. Miał średnicę ołówkowego grafitu i był zapchany pyłem.

– Popełniłem błąd – odpowiedział na nasze indagacje Lear. – Nie powinienem był nawet dotykać tego przycisku. Musiał być to wyłącznik pola, które utrzymywało tę masa na jej miejscu. Po prostu spadła. Kapitan Childrey znajdował się na jej drodze.

Przeszła przez niego na wylot, wyżerając po drodze masę.

– Nie, niezupełnie – powiedział Lear. – Przypuszczam, że jej masa wynosiła około 10^{14} grama. Wynika stąd, że jej średnica nie przekracza 10^{-6} angstrema i jest o wiele mniejsza od średnicy atomu. Nie mogła pochłonąć dużo. Spustoszenia w jego organizmie dokonały siły pływowe wywołane jej przejściem. Widzieliście jak sproszkowała materiał podłogi.

Nic dziwnego, że wyłoniła się kwestia morderstwa. Lear zbył to wzruszeniem ramion.

– Morderstwo? Czym? Childrey wcale nie wierzył, że czarna dziura tam jest. Podobnie wielu

z was. – Uśmiechnął się niespodziewanie. – Czy możecie sobie wyobrazić, co by to był za proces? Wyobraźcie sobie prokuratora starającego się wyluszczyć ławie przysięgłych, co się jego zdaniem wydarzyło. Po pierwsze musiałyby im powiedzieć, co to w ogóle jest czarna dziura, a potem kwantowa czarna dziura. Następnie musiałyby im wyjaśnić, dlaczego nie dysponuje narzędziem zbrodni i gdzie je zostawił. Spadało swobodnie przez wnętrze Marsa! A jeśli dobrnąłby już tak daleko, nie będąc jeszcze wyśmianym, musiałyby na dodatek wyjaśnić w jaki sposób coś mniejszego od atomu może wyrządzić komuś krzywdę.

Ale czy Lear nie zdawał sobie sprawy, że to coś jest niebezpieczne? Czy ze sposobu w jaki się to zachowywało nie mógł się domyślić z jaką ogromną masą ma do czynienia? Lear rozłożył ręce.

– Panowie, wchodzi tu w grę większa liczba zmiennych niż sama tylko masa. Na przykład natężenie pola. Mógłbym oszacować jej masę wychodząc z wielkości siły, jaka była zaangażowana do utrzymania jej we wnętrzu komunikatora, ale czy ktoś z was skłonny jest przypuszczać, że obcy wykalibrowali swe skale w systemie metrycznym?

Musiały na pewno istnieć jakieś zabezpieczenia przed przypadkowym wyłączeniem pól. Lear musiał je obejść.

– Tak, prawdopodobnie przypadkowo to zrobiłem. Sporo manipulowałem przy komunikatorze, starając się zgłębić zasadę jego działania.

Na tym stanęło. Procesu, oczywiście, by mu nie wytoczono. Nie można się było spodziewać, że zwykły sędzia czy ława przysięgłych zrozumieją o co chodzi prokuratorowi. I nawet nie wspomniano o paru aspektach tej sprawy.

Na przykład o ostatnich słowach Childreya. Mógłbym je powtórzyć, gdyby mnie o to poproszono, a równie dobrze mógłbym tego nie uczynić. Brzmiały one:

– W porządku, pokaż mi Pokaż ją mi albo przyznaj, że jej tam nie ma!

Po zakończeniu przesłuchania odezwałem się do Leara:

– Do diabła, nie wyszedłeś z tej afery bez szwanku. Co będziesz teraz badał? Jedyne czarna dziura we wszechświecie, a ty wypuszczasz ją z ręki.

Lear zachmurzył się.

– Masz rację. W każdym razie częściową rację. Ale dowiedziałem się o niej tyle, ile chciałem i w sposób, w który chciałem. No więc... powstrzymałem ją od drgań, gdy jeszcze tam była, po czym zmierzyłem masę całego urządzenia Detektorem Masy. Teraz, kiedy już jej tam nie ma, mogę określić masę czarnej dziury mierząc masę samego komunikatora. – Och!

– I teraz mogę już otworzyć to urządzenie, zobaczyć co kryje się w środku, stwierdzić jak je kontrolowali. Cholera, chciałbym mieć teraz sześć lat.

– Co takiego? Dlaczego?

– Widzisz... brak mi czasu na rozwikłanie tej tajemnicy. Matematyka nie jest tu

odpowiednim narzędziem. Za kilka lat albo za kilka wieków między Ziemią a Jowiszem powstanie czarna dziura. Będzie dostatecznie duża na to, by ją badać. Przypuszczam, że stanie się to za jakieś czterdzieści lat.

Gdy zrozumiałem do czego zmierza, nie wiedziałem czy śmiać się, czy płakać.

– Lear, nie sądzisz chyba, że coś tak małego wchłonie Marsa!

– Właśnie. Pamiętaj, że ona wchłonie wszystko, do czego się zbliży. Tu jądro, tam elektron... i nie czeka, aż atomy same w nią wpadną. Wytwarzana przez nią grawitacja jest ogromna, a ona miotając się tam i z powrotem przelatuje za każdym razem przez jądro planety wymiatając z niej materię. Im więcej jej pożre, tym staje się większa, a jej objętość rośnie z sześcianem masy. Tak, wcześniej czy później wchłonie Marsa. Wtedy będzie już miała średnicę niewiele mniejszą od jednego milimetra. Będzie wystarczająco duża, aby ją zaobserwować.

– Czy może do tego dojść w przeciągu trzynastu miesięcy?

– Zanim odlecimy? Hmm – spojrzenie Leara stało się nieobecne. – Nie sądzę. Będę to musiał jeszcze przemyśleć. Matematyka nie jest tu odpowiednim narzędziem...